

MICHAŁ ŁABANOWSKI

NIHIL NOVI!

MŁAWA, 2. CZERWCA 2012

Nie czytaj tego! Przestrzegam. Ten tekst jest przeklęty. Po prostu.
Nie brałbym go nawet do ręki. Przeklnij osobę, która ci go podała.
A przed czytaniem przynajmniej skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

Co? Ciekawość silniejsza?

To pierwszy stopień do piekła – mówią. Ale nigdy jeszcze tak nie było, żeby jakoś nie było. W każdym razie, jak już musisz czytać, to życzę miłej lektury!

Autor

Tell me again

Tell me over and over

Tell me that you want me then

Amen

Silnie już podniecony, włożyłem klucz do zamka. Ten zachrobotał złowieszczo, wszedł tępo i jakoś tak na raty. Kurwa. Z tego wszystkiego zdzieliłem kopniakiem Bogu ducha winną plastikową wycieraczkę, zmotywowany jednak, żeby jeszcze posiłować się z zamkiem. Chuchnąłem porządnie chuchem słabszym niż niegdyś, fajki wychodzą. Cichy gwizd zagrał na kluczu oryginalną melodię, starając się oczyścić tu i ówdzie pyłki, jednak moje zabiegi okazały się płonne.

No i co teraz? – zapytała Magda.

No co? Pójdę do tego chuja, przepraszam cię Madziu, do tego gościa z recepcji – niech no zda nam ten królewski pokój z królewskim kluczem, pasującym do królewskiego zamka.

Zważyłem w rękach bagaże, najpierw – zupełnie nie po dżentelmeńsku – swój nieduży „unijny“ plecak i sporą czerwoną torbę ozdobioną reklamą pewnego stołecznego piwa. Potem walizę Magdy. Nie – mówię, tak to my się bawić nie będziemy.

Poczekaj tutaj. Schodzę.

Już na dole kliknąłem usilnie w brzęczyk, by po chwili zobaczyć ponownie tego tępego buraka przebranego za górala. I ten jego czosnek. Po co on go tak ciągle sieka na tej desce.

Panie, wiesz co pan możesz sobie zrobić z tym kluczem?

Ale wyraziłem się skromniej. Udało mi się załatwić nowy pokój bez dopłaty. Słowem – zajebisty ze mnie negocjator. Mister Huragan. Nie ma co.

Magda poszła do łazienki. Pierwsze na co zwróciłem uwagę – małżeńskie łóżko – nie powiem, w głębi ducha ucieszyło mnie, więc dałem przez chwilę poharcować nieskromnym, a lubieżnym wręcz, myślom po swojej rozbuchanej wyobraźni. W końcu pytam:

Madziu, wolisz spać od okna, czy od drzwi?

Cisza.

Baldachim nie było, chociaż burak z recepcji zapewniał, że ten pokój jest iście królewski:

Gdyby był inny, to byśmy go tak nie nazywali, nie?

Wprawdzie mi ten fakt nie przeszkadzał, ale jak już jest się u wkurzającego buraka to można przecież, się do tego i owego przypluć. Kominiek – sztuczny. Okna – nieszczelne. No dobra, nie przyjechaliśmy narzekać.

Długo by opowiadać jak się zadamawialiśmy. Na łóżku, pod łóżkiem, za łóżkiem, obok łóżka. Ale jak już przyszło nam rozpakować bagaże to patrzę, co ona nabrała, a to na jedną pogodę, to na drugą, trzecią i jeszcze inną.

Na chuj ci to? To znaczy - po co?

Jak to się mogło skończyć – wiemy wszyscy. Foch. Z przytupem. I obrotem na pięcie.

Trudno, pofochuj się Kochanie, tu i ówdzie. Na balkonie? Może w łazience? Może ten burak z recepcji cię wysłucha?

Idę do sklepu. Po coś do kolacji. A może wyjdziemy na kolację? Tego jeszcze nie wiem. Jakieś piwo. Fajki. Tak – karton fajek. W końcu po to tu przyjechałem,

żeby tworzyć. Chciałem zasmoczyć, to znaczy usiać smogiem tutejsze górskie powietrze. Żart. Taki zupełnie miały jakiś, ale żart. Miałem rzucić ale taka jest ta moja muza, że bez nich niczego nie stworzę twórczego. Magda. Muza – meduza. Jak drogo. Ech.

.....

Wieczorem jednak wyszliśmy na kolację. Nie przesadzajmy z szarmancją, ale knajpa musi być porządna. I tak też nas obsłużyli. Madzia chyba liczyła na jaką dodatkową biżuterię na palcu, ale kupiłem jej tę zajebistą karkówkę, co to przed rokiem sam ją próbowałem. Też powinna być zadowolona. Ja bym był. I to czerwone wino, niby ten posmak zwietrzały, podali do kolacji,

Porządny rocznik! – mówię.

A na mój gust przeżyła by w tym ta złota rybka, co ją Magda kiedyś miała.

Pokerowa twarz. Nie dam po sobie poznać. Czego? Oczywiście, że coś uchodzi mojej kontroli. Ale spoko. Dam radę.

Kochanie, pamiętasz jak się poznaliśmy?

Z miejsca trochę humoru. Foch minie, a jak tylko wrócimy, ona znowu rozłoży nogi. Ona mówi:

Michał, zastanów się!

A ja już wiem, że nie jest dobrze. Że będą te rozważania o byciu odpowiedzialnym i nie, o byciu mądrym i nie, i okazywaniu swojego uczucia lub jego braku. Słyszę w radiu coś na podobieństwo „Dance me to the end of love“ Cohena, mówię, że od teraz to będzie już nasza piosenka i że będziemy ją wspominać i będziemy jej słuchać w każdą pieprzoną rocznicę i w każde pieprzone walentynki. Mające na dodatek za patrona jakiegoś gościa od chorych psychicznie i epileptyków. Ale to nic. Udało mi się tę moją Madzię trochę udobruchać nim wróciliśmy do górskiego pensjonatu.

.....

Przepieprzywszy parę dobrych chwil na małżeńskim tapczanie, gdy Magda już zasnęła, zdecydowałem się rozpocząć ten przeklęty karton przeklętych fajek i wychyliłem się na balkon. Odpaliłem nieudolnie, tak, że tradycyjnie żar rozszedł się nierównomiernie, po czym głęboko zaciągnąłem się dymkiem. Gdy poczułem lekkie, przyjemne zawirowanie w głowie, wiedziałem już, że wszystko jest na swoim miejscu. Pozwoliłem odpocząć powiekom, zamknąłem oczy i uważnie oddałem się swoistej terapii dźwiękami nocy. Przez szum drzew i nie tak znowu ciche odgłosy radia z recepcji przedarło się przeraźliwe wycie psów do księżyca. Przeszywające na wskroś mój wrażliwy umysł i tym sposobem paraliżujące wszystkie moje członki. Dokładnie w chwili, gdy odniosłem wrażenie, że odpływają od zdezelowanego mózgu w tylko sobie znanych kierunkach, z tylko sobie znanych powodów. Tak rozpoczęła się reakcja łańcuchowa.

.....

Mrok. Ciemność i zimno. Siedzę tu już od kilku godzin. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo wcale nie wiem jak tu trafiłem. Chłód kamienia pod

plecami sprawia, że coraz dobitniej dają znać o sobie ciarki na całym ciele. Woda osiągnęła już wysokość kolan i obawiam się, że będzie w dalszym ciągu wzbierać.

Złudnie, światło księżycowej nocy zdaje się stopniowo oddalać do tego stopnia, że nie jestem w stanie oszacować ilości kręgów dzielących mnie od powierzchni. Sklepienie powoli nakrywa ten tunel. Temperatura spada. Szybki oddech odnajduje postać kłębiącej się pary, wywołującej z kolei ścinającą się lodową powłokę na kamiennych granicach studni. Ręce trzęsą się coraz bardziej. Nie potrafię wiarygodnie stwierdzić, czy przyczyną tego jest strach, zimno, czy cokolwiek innego. Otóż drżąca ziemia sprawia, że ściany zbliżają się ku sobie a przestrzeń pozostawiająca możliwość oddechu gwałtownie się kurczy.

Oslabione próbami wspinaczki ręce składają się w znak krzyża, bo w takich chwilach nawet ateści często zyskują bakcyła wiary. Słowa modlitwy gubią się w przekleństwach.

Nagle, poczułem palący ból w łydkach. Z wody wynurzyły się dziesiątki rąk. Każda pozbawiona owłosienia, blada, liszajowata. Wbiły długie i niesamowicie poszczerbione, czarne od brudu paznokcie w skórę. Obejmują w wielu miejscach nogi i czuję jak wciągają mnie pod powierzchnię wody. Rozdzierają spodnie. Błyszczące strugi krwi popłynęły z wielu ran. Wszędzie tam, gdzie pełne liszajowatych płam dłonie łąpały kontakt z naskórkiem.

Zapadam się. Obejmują mnie w pasie. Obejmują moje ramiona. Jedna z nich chwyciła mnie za szczękę, wpychając palce głęboko do gardła. Zdławiły zarówno krzyk, jak również odruch wymiotny. Zagryzłem szczęki. Ręka się cofnęła, jednak ja zacisnąłem zęby na dwóch palcach. Poczułem najpierw metaliczny posmak własnej krwi, a następnie poczułem jak kwaskowa, czarna maź spływa kącikami ust i ścieka na podbródek. Rozluźniłem szczęki i wyplułem te kawały topielczego mięsa, które pozostały w ustach.

Zapadam się nadal. Ostatecznie, któraś z wielu rąk wybiła obok mojej głowy i chwyciwszy za czaszkę brutalnie wciągnęła pod wodę. Poświata księżycowa straciła na dotychczasowej wyrazistości. Usiłowałem wstrzymać oddech. Czarne paznokcie wtłoczone w oczodoły wywołały palący ból. Nie widzę nic. Czuję jak woda stopniowo wdziera się do nosa i uszu. Oddech wymusza by wypełniła również usta. Płuca stają się pełnym po brzegi bukłakiem...

.....

Otworzyłem oczy i w niepoahamowany sposób zwymiotowałem za barierkę. Kurwa! Co to było?! Może fajki jakieś trefne? Nie wiem. Na czworakach przebrnąłem przez próg do pokoju. Gdzie jest Magda? Łóżko puste. Światło w łazience wyłączone, na korytarzu chyba też. Spojrzałem w lustro. Kurwa. Znow to wycie. Tam ktoś jest. Przecież widziałem ten ruch w pościeli. Obróciłem się i energicznym ruchem zdarłem kołdrę.

Psia mać!

W łóżku znajdowały się zwłoki Magdy. Ale jakieś takie spróchniałe, zasuszone. Wszystko przesączone zapachem zgnilizny i toczone przez gigantyczne białe larwy czerwiów. Kurwa! Zostawiłem kołdrę i wybiegłem na korytarz. Musiałem stamtąd uciec. Wdepnąłem w ohydny mokrą plamę na podłodze, przez co poślizgnąłem się w progę i przewróciłem na schodach. Ja pierdołę, brakuje tylko żebym się połamał. Schodzę do recepcji. Tam cisza. Co jest?! Żeby burak z recepcji miał wolne to nie rozumiem tego już. Ale czekaj. Radio gra jeszcze. Może by zajrzeć do niego do dyżurki? Przepchnąłem się w przejściu przy ladzie. Do najszczuplejszych nie należę, ale się udało. Mniejsza o

większość. Słyszeć dziwne odgłosy. Ludzie robią różne rzeczy w szoku więc chwyciłem tę cholerną deskę po czosnku. I dawaj sprawdzać. Wskoczyłem do środka i kopa w ten fotel, jeb w telewizor. Po chwili, gdy ochłonąłem, to zdałem sobie sprawę – te dźwięki dochodziły z odbiornika. Zrobiłem burdel gościowi – ale to nic, musiałem odreagować. Idę dalej z tą deską, biorę za drzwi. Zamknięte. Odpaliłem fajkę, ruszam na podbój. Czas stąd wypierdalać. Mówicie, że powiniem rozpaczać trochę po Magdzie?

W sumie to nie należała do najpiękniejszych, chociaż w łóżku było fajnie – parę chwil miłych. No szkoda dziewczyny. Pewnie. Ale w takiej sytuacji trzeba się zatroszczyć o siebie. A co powiem jej rodzicom? Sorki, ale córeczka wam zgniła pod moją nieobecność? Mocne. Ale w to nie uwierzą. Kurwa! Przecież jak wybiegałem, to mi na tym, chyba, aż tak bardzo nie zależało. Znowu – akcja zwalnia, podchodzę z dechą do drzwi. Otwieram. O kurwa! Patrzą, a ten burak z recepcji leży na wyrze i wypierdala te larwy. Zajada to mało powiedziane. No to ja podbiegam i dalej jeb go dechą w ten parchaty ryj, aż mu się jedna rozbryzgała na twarzy.

Coś tam bełkocze, ale nie... Madzi mu nie daruję. No to jeszcze raz mu po łbie. I drugi. I trzeci. Poprawiłem z kopa aż przestał się ruszać.

Cóż – spadam stąd. Nie wiem tylko jeszcze, co wpiszę w księdze gości. Jakoś takie mam mieszane uczucia. Zaglądam do szafy, bagaży nie ma. Złodzieje jebani. Zbiegłem na dół. Wybiłem dolną szybę w przeszklonych drzwiach i ruszyłem do samochodu. Patrzą – mojego nie ma. Wsiadam więc do stojącego obok malucha, otwarty był to może ucieknę. Rozbebrałem stacyjkę, zupełnie jak na tych filmach w telewizji, jakoś zwarłem kabelki. Działa. Zgasł. Przez chwilę pracuje rozrusznik. Koniec. Umarł w butach. Pozostaje mi tylko kląć i dzielić los Magdy. Nie dam się. Zamknąłem się w pocziwym fiacie. Idzie ten burak z recepcji. Ale jak! Ujebany

jak stół z TVN-u. Szkoda gadać. Doszedł do samochodu, rzucił się na maskę jak ta ostatnia łajza. Słyszę wycie. Znowu.

.....

O kurwa! Ale mnie łeb napierdala. I zimno strasznie. Gdzie ja jestem?! I czemu na balkonie? Zerwałem się na równe nogi. Musiałem nieźle przypieprzyć, że mnie tak boli. Otwieram z kopa drzwi. Wpadam. A tam w łóżku Magda:

- Pogięło cię? – mówi. – Jest środek nocy! Co ty wyprawiasz?!

No to ja ją biorę szerokim łukiem. Ale znany ze swej ciekawości świata, zbliżam się i hyc, szczypnąłem ją w nóżkę.

- Ała! – słyszę. – Debilu jeden, daj mi spać!

No to ja dalej w ten deseń. Zrywam z niej kołdrę. Larw nie ma. Co do mokrej plamy na środku pokoju to muszę przyznać ze wstydem, obawiam się teraz, że to ja mogę być jej źródłem. A więc to wszystko to był sen? Tylko i wyłącznie zły sen. Sprawdzę jeszcze, czy bagaże są na swoim miejscu. Są. Oczywiście, Magda nadaje bez przerwy jak to radio w recepcji. Że noc, że hałas – jazgocze. No właśnie! Co z tego, że noc?! Temu burakowi na dole dojechał bym z tej deski i tak. Zasługuje na to. Za ten jego parchaty ryj i mętny wzrok. Idę w takim razie na balkon, na papieroska, zanim wreszcie położę się spać. Wszystko fajnie. Księżyc ciekawy. Pełnia. Tylko te wycie jakieś złowrogie.

KONIEC. **MŁ**